

Autor - Artur Rimbaud

Sezon w piekle

Moje życie, jeśli mnie pamięć nie zwodzi, było niegdyś ucztą, na której otwierały się wszystkie serca, płynęły wszystkie wina.

Pewnego wieczoru wziąłem na kolana Piękno. - I przekonałem się, że jest gorzkie.
- Znieważyłem je.

Uzbroiłem się przeciw trybunałom.

Uciekłem. O czarownice, nędzo, nienawiści, powierzono wam mój skarb!

Zdołałem wygnać ze swego umysłu wszelką ludzką nadzieję. Głuchym skokiem drapieżnika rzucałem się na każdą radość, by ją zdusić.

Wezwałem oprawców, żeby, konając, kąsać kolby ich karabinów. Wezwałem wszystkie plagi, by zadławić się piachem i krwią. Moim bóstwem było nieszczęście. Tarzałem się w błocie. Suszył mnie wiatr zbrodni. Igrałem z obłędem.

I wiosna przyniosła mi okropny śmiech idioty.

Niedawno, bliski wydania ostatniego skrzeku, zapragnąłem odnaleźć klucz do dawnej uczy, na której być może odzyskałem apetyt.

Tym kluczem jest miłosierdzie. - Pomysł taki dowodzi, że śniłem!

ZŁA KREW (Mauvais sang)

Po galijskich przodkach mam jasnoniebieskie oczy, ciasny umysł i niezręczność w walce. Zauważyłem, że noszę się równie barbarzyńsko jak oni. Tyle że nie smaruję włosów masłem.

Galowie byli w swoich czasach najbardziej nieudolnymi oprawcami zwierząt i wypalaczami łąk.

Dziedziczę po nich: bałwochwalstwo i upodobanie do świętokradztwa; ach, i całą swoją występłą naturę, złość, lubieżność- to wspaniałe, lubieżność- a zwłaszcza kłamliwość i lenistwo.

Czuję wstręt do wszelkich zajęć. Właściciele i wyrobnicy, wszystko to nieczne gbury. Ręka z piórem i ręka u pług, jedna warta drugiej.- Ależ to stulecie rąk!- Nigdy nie będzie wśród nich mojej ręki. Służba prowadzi zresztą za daleko. Uczciwość żebraków przynębia mnie. Przestępcy odstręczają jak kastraci: co do mnie jestem nietknięty i wszystko mi jedno.

A jednak! Któż dał mi język tak wiarołomny, że dotychczas przewodzi mojemu lenistwu i strzeże go? Nie posługując się swoim ciałem nawet po to, żeby przeżyć, gnuśniejszy od

ropuchy żyłem wszędzie. Nie ma w Europie rodziny, której bym nie znał.- Myślę o rodzinach jak moja, zawdzięczających wszystko Deklaracji Praw Człowieka.- Zapoznałem się z każdym synem tych rodzin!

*

Gdybym chociaż miał antenatów w którymś momencie historii Francji.

Ale nie, nikogo.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że zawsze byłem niższą rasą. Nie mogę pojąć buntu. Mój ród powstawał tylko po to, żeby grabić: jak wilki rzucają się na nie dobitą zwierzynę. Przypominam sobie historię Francji, starszej córki Kościoła. Nieokrzesianiec, podróżowałem do ziemi świętej: mam w głowie drogi przez równiny Szwabii, widoki Bizancjum, obronne mury Jeruzalem: wśród tysiąca bezbożnych fantasmagorii budzi się we mnie kult Marii i rozczulenie nad Ukrzyżowanym. - Trędowny, zasiadam na rozbitych skorupach i pokrzywach pod murem zżartym przez słońce. - Później, rajtar, biwakowałem pod nocnym niebem Niemiec.

Ach, i tańczę jeszcze podczas sabatu na czerwonej polanie ze starymi wiedźmami i dziećmi.

Nie sięgam pamięcią poza tę ziemię i chrześcijaństwo. Nie przestanę oglądać się w tej przeszłości. Ale zawsze sam; bez rodziny; i jakim właściwie mówiłem językiem? Nigdy nie widzę się na koncyliach Chrystusa; ani w reprezentujących Chrystusa radach jaśnie wielmożnych.

Kim byłem w ubiegłym stuleciu? Odnajduję się dopiero dzisiaj. Przeminieli włóczędzy, przeminiły niejasne wojny. Niższa rasa przykryła wszystko- lud, jak to się mówi, rozsądek; naród i wiedza.

Ach, wiedza! Przechwycono wszystko. Ciało i duszy ofiarowano- wiatyk- medycynę i filozofię, babskie lekarstwa i uładzone śpiewki ludowe. Rozrywki książąt i zakazane przez nich zabawy! Geografię, kosmografię, mechanikę, chemię!...

Wiedza, nowe szlachectwo! Postęp. Świat idzie naprzód! Dlaczego nie miałby się obracać?

To wizja liczb. Zdążamy do Ducha. Bez wątpienia, jest prorocstwem, to co mówię. Rozumiem i nie mogąc wypowiedzieć się bez pogańskich słów, wolę zamilczeć.

*

Wraca krew pogańska! Duch jest blisko: dlaczego nie wspomaga mnie Chrystus darząc moją duszę szlachectwem i wolnością? Niestety, Ewangelia przeminęła! Ewangelia! Ewangelia.

Zachłannie wyczekuję Boga. Pochodzę z niższej rasy od nieskończonych czasów. Znajduję się na plaży bretońskiej. Niech zaświecą wieczorne miasta. Mój dzień się wypełnił: opuszczam Europę. Morski wiatr wypraży moje płuca; wygarbują mi skórę egzotyczne klimaty. Pływać, ugniatać trawę, polować, zwłaszcza palić tytoń, i pić alkohole mocne jak wrzący metal- jak czynili to drodzy przodkowie wokół ognisk.

Powrócę z żelaznymi mięśniami, ogorzały, z wściekłym okiem: sądząc po mojej masce zaliczą mnie do mocnej rasy. Będę miał złoto; będę gnuśny i brutalny. Kobiety troszczą

się o tych kalekich dzikusów wracających z gorących krajów. Wdam się w polityczne rozgrywki. Będę zbawiony.

Teraz jestem przeklęty i ojczyzna budzi we mnie odrazę. Nieprzytomny sen pijanego na piaszczystym brzegu, oto co najlepsze.

*

Nie odjeżdżamy. - Chcę powrócić na pobliskie drogi obciążony swoim występkiem, tym występkiem, który od wieku dojrzałości zapuścił korzenie cierpień u mojego boku i który wzbija się w niebo, chłoscze mnie, powala, wlecze po ziemi. Ostatnia niewinność i ostatnie onieśmienie. Postanowione. Nie obnosić po świecie swoich wstrętów i zrad.

Naprzód! Marsz, brzemień, pustynia, znudzenie i gniew.

Komu się ofiarować? Jaką wielbić trzeba bestię? Na jaki porwać się święty obraz? I czyje złamię serca? Jakiego trzymać się mam kłamstwa? - W czyjej brodzić krwi?

Lepiej wystrzegać się prawa. - Twarde życie, naturalne otępienie- unieść wyschlą pięścią wieko trumny, usiąść, zadusić się. Nie będzie już starości ani niebezpieczeństw: strach nie jest francuski.

- Ach, tak jestem opuszczony, że każde wyobrażenie boskie wyzwala we mnie porywy doskonałości.

O moje wyrzeczenia, cudowne moje miłosierdzie! na tym świecie jednakże.

De profundis, Domine, jaki ze mnie głupiec!

*

Od najwcześniejszego dzieciństwa wielbiłem niezłomnego galernika, za którym ciągle zamykają się więzienia: odwiedzałem oberże i podnajęte pokoje, który mógłby uświęcić swoim pobytem; oglądałem *poprzez jego myśli* błękitne niebo i kwitnące prace wsi; tropiłem po miastach jego losy. Miał większą moc niż święty, więcej zdrowego rozsądku niż podróżnik- i siebie, siebie jednego! za świadka swojej chwały i rozumu.

Na drogach, w zimowe noce, bez schronienia, odzieży i chleba, słyszałem głos przejmujący moje wyziębłe serce: "- Słabość albo siła: to ty, to siła. Nie wiesz, dokąd idziesz i dlaczego. Zachodź wszędzie i odpowiadaj na wszystko. Nie mogą cię zabić: jak gdybyś już był trupem". Rano miałem wzrok tak zagubiony i wyraz twarzy tak martwy, że ci, których spotkałem, *być może nie dostrzegli mnie*.

Błoto w miastach wydawało mi się nagle czerwone i czarne jak lustro, kiedy przenoszą lampę w sąsiednim pokoju, jak skarb w lesie! Powodzenia- wołałem- i widziałem na niebie morze ognia i dymu; i na lewo, i prawo wszystkie bogactwa błyskały jak miliard piorunów.

Ale orgia i przyjaźń z kobietami były mi wzbronione. Widziałem się przed rozwścieczonym tłumem, naprzeciw plutonu egzekucyjnego, oplakiwałem nieszczęście, którego tamci nie potrafiliby zrozumieć, i wybaczałem. - Jak Joanna d' Arc! - "Kapłani, profesorowie, zwierzchnicy, mylicie się, wydając mnie w ręce sprawiedliwości. Nigdy nie byłem jednym z tych ludzi; nigdy nie byłem chrześcijaninem; pochodzę z rasy, która śpiewała na torturach; nie pojmuję praw; nie mam poczucia moralnego, jestem gburem:

mylicie się..."

Ależ tak, moje oczy są zamknięte na wasze światło. Jestem bestią, Murzynem. Ale mogę być wybawiony. Jesteście fałszywymi Murzynami, wy, maniacy, okrutnicy, skąpcy. Handlarzu, jesteś Murzynem; sędzio, jesteś Murzynem; generale, jesteś Murzynem; cesarzu, zastarzały świerzbie, jesteś Murzynem: pijałeś nie opodatkowany trunek z gorzelnii Szatana. - Ten lud tknięty jest gorączką i rakiem. Słabeusze i starcy tak są czcigodni, że proszą o całopalenie. - Najzmyślniej byłoby opuścić ten kontynent, gdzie szaleństwo błąka się, by dostarczać zakładników tym nędznikom. Wstępuję w prawdziwe królestwo dzieci Chama.

Czy znam jeszcze naturę? Czy znam siebie?- *Żadnych już słów.* Grzebię umarłych w swoim brzuchu. Krzyki, bicie bębna i taniec, taniec, taniec, taniec! Nie zauważę nawet, kiedy podczas lądowania białych zapadnę się w nicość.

Głód, pragnienie, krzyki, taniec, taniec, taniec, taniec!

*

Biali lądują. Armatni strzał! Trzeba dać się ochrzcić, ubrać się, pracować.

W samo serce ugodził mnie cios łask. Ach, nie przewidziałem go!

Nie zrobiłem nic złego. Moje dni będą lekkie i oszczędzona mi będzie skrucha. Nie zaznam udręczeń nieomal obumarłej dla dobra, w której wznosi się światło surowe jak świece pogrzebne. Los syna zacnej rodziny, przedwczesna trumna zroszona przejrzystymi łzami. Zapewne, głupia jest rozpusta i głupi jest występpek: trzeba odrzucić tę zgniliznę. Ale zegar nigdy nie wybije godziny samego tylko bólu! Czy nie wyprowadzą mnie jak dziecka, żebym zabawiał się w raju zapomniawszy o wszelkim nieszczęściu? Śpieszmy się! Czy istnieją inne życia? - Niepodobieństwem jest sen o bogactwie. Było ono zawsze dobrem publicznym. Tylko boska miłość udziela kluczy do wiedzy.

Dostrzegłem, że natura jest widowiskiem dobroci. Żegnajcie, chimery, ideały, zbłąkania! Rozumny śpiew aniołów wzbija się ze zbawczego statku: to boska miłość. - Dwie miłości! mogę umrzeć od ziemskiej miłości, umrzeć z poświęcenia. Opuściłem dusze, którym mój odjazd przysporzy jeszcze cierpienie! Wybieracie mnie spośród rozbitków: czy pozostali nie są moimi przyjaciółmi?

Ocalcie ich!

Narodził się dla mnie rozum. Świat jest dobry. Pobłogosławię życiu. Pokocham swoich braci. Nie są to już obietnice dzieciństwa. Ani nadzieja, że umknę starości i śmierci. Bóg stanowi moją moc i chwałę Boga.

*

Nuda nie jest już moją miłością. Przystępy wściekłości, rozpusta, szaleństwo- których znam wszystkie uniesienia i klęski- całe moje brzemie jest zdjęte. Oszacujmy bez przesady granice mojej niewinności.

Nie byłbym już zdolny domagać się pocieszenia chłostą. Nie sądzę, bym wyprawiał się na zaślubiny za teścia mając Jezusa Chrystusa.

Nie jestem więźniem własnego rozumu. Powiedziałem: Bóg. Pragnę wolności w zbawieniu: jak ją osiągnąć? Opuścili mnie płocze zachcenia. Znikła potrzeba poświęceń

i boskiej miłości. Nie żałuję wieku czułych serc. Każdy miał własny rozum, własną
wzgardę i miłosierdzie: zachowuję swoje miejsce u szczytu tej anielskiej drabiny
zdrowego rozsądku.

Co do ustalonego szczęścia, domowego albo i nie... nie, nie potrafię. Zbyt jestem
rozproszony, zbyt słaby. Życie zakwita w pracy, to stara prawda: lecz moje życie nie
dość waży, odfruva i trzepocze daleko poza działaniem, tą cenioną ośnową świata.
Jaką staję się starą panną, z braku odwagi, by pokochać śmierć!

Gdyby Bóg zesłał mi tchnienie niebiańskiego spokoju, modlitwę- jak dawnym świętym.-
Święci! mocarze! anachoreci, artyści, którzy są już zbędni!

Wieczna farsa! Moja niewinność doprowadza mnie do łez. Życie jest farsą,
w której grają wszyscy.

*

Dość! oto kara. - *W drogę!*

Ach, palą płuca huczą skronie! Noc zawraca się w oczach od tego słońca! Serce...
kończyny...

Dokąd idziemy? do walki? Jestem słaby! Wyruszają inni. Narzędzia broń... już czas!...
Ognia! ognia na mnie! Tu! albo się poddaję. - Tchórze! - Zabijam się! Rzucam się pod
kopyta koni!

Ach!...

- Przywyknę do tego.

Byłoby to życie po francusku, droga honoru.

NOC PIEKIELNA (Nuit de l'enfer)

Przełknąłem tęgi haust trucizny. - Po trzykroć niech będzie błogosławiony zamysł, jaki
mnie nawiedził! - Palą mnie wnętrzności. Zaciekły jad skręca mi ciało, zniekształca mnie,
zwala z nóg. Konam z pragnienia, duszę się, nie mogę krzyczeć To piekło, cierpienie
wieczne! Spójrzcie, jak wznosi się płomień! Płonę jak trzeba! Zgoda, demonie!

Majaczyło mi się nawrócenie na dobro (szczęście, zbawienie. Czy mam opisać wizję?
Aura piekła nie znosi hymnów! Były to miliony czarownych istot, słodki koncert duchowy,
siła i uspokojenie, szlachetne popędy, czy ja wiem?

Szlachetne popędy!

I to wciąż jeszcze życie! - A gdyby potępienie było wieczne! Człowiek, który chce się
okaleczyć, jest potępiony, nieprawdaż? Sądzę, że znajduję się w piekle, więc jestem w
nim. To dopełnienie się katechizmu: jestem niewolnikiem swojego chrztu. Rodzice,
sprowadziliście nieszczęście na mnie i na siebie. Biedne niewiniątko! - Piekło jest
bezsilne wobec pogan. - To ciągle jeszcze życie! Później rozkosze potępienia staną się
głębsze. Zbrodni, szybko, niech stoczę się w nicość skazany przez ludzkie prawo.
Milcz, ależ milcz!... Tutaj wyrzut to hańba: Szatan mówiący o niegodziwym ogniu I moim
straszliwie niedorzecznym gniewie. - Dostyc!... Podszeptowanych mi błędów, magii,
fałszywych zapachów, prostackich melodii. - I pomyśleć, że posiadałem prawdę, że
rozpoznaję sprawiedliwość: mam zdrowy I pewny sąd, mogę zdobyć się na
doskonałość... Pycha. - Wyschła mi skóra na głowie. Litości! Panie, boję się. Czuję

pragnienie, trawiące pragnienie! Ach, dzieciństwo, trawa, deszcz, jezioro wśród kamieni, księżycy blask, gdy biła z dzwonnicy dwunasta... O tej porze diabeł jest w dzwonnicy. Mario! Panno Święta!... - Moja głupota budzi grozę.

Tam daleko, czy to nie dusze poczciwe, które dobrze m życzą?... Zbliżcie się... Mam poduszkę na ustach, nie słyszą mnie, to zjawy. Nikt nie myśli zresztą o innych. Niech nie podchodzą. Czuć mnie spalenizną, to pewne.

Halucynacje są niezliczone. To właśnie nachodziło mnie zawsze: - brak wiary w historię, zapomnienie zasad. Przemilczam ten temat: poeci i wizjonerzy byłiby zazdrośni. Jestem po tysiącokroć najbogatszy, bądźmy skąpi jak morze.

Ach, stało się! zegar życia przystaną przed chwilą. Nie ma mnie już na świecie. -

Teologia jest poważna, piekło jest bez wątpienia *na dole*- a niebo w górze. - Ekstaza, koszmar, sen w gnieździe płomieni.

Ile jest zmyślności w wiejskim wyczekiwaniu... Szatan, Ferdynand biegnie z dzikimi nasionami... Jezus stąpa po purpurowych jeżynach nie uginając ich... Jezus stąpał po wzburzonych wodach. W świetle latarni ukazał nam się wyprostowany, biały, w splotach ciemnych włosów, na łonie szmaragdowej fali...

Odsłonię wszystkie tajemnice: religijne i naturalne misteria, śmierć, narodziny, przyszłość i przeszłość, kosmogonię i nicość. Jestem mistrzem fantasmagorii.

Słuchajcie!...

Mam wszystkie talenty! - Nie ma tu nikogo i ktoś jednak jest: nie chciałbym rozrzucić swoich skarbów. - Życzycie sobie murzyńskich pieśni, tańców hurysy? Życzycie sobie, żebym zniknęła, żebym popłynęła w poszukiwaniu *pierścienia*? Życzycie sobie? Zrobię złoto i uniwersalne lekarstwa.

Polegajcie więc na mnie, wiara przynosi ulgę, prowadzi, uzdrawia. Przyjdźcie wszyscy- nawet małe dzieci- a pocieszę was i otworzy się przed wami serce, cudowne serce! - Ludzie ubodzy, pracownicy! Nie proszę o modlitwy: wystarczy wasze zaufanie, by mnie uszczęśliwić.

- Pomyślmy o mnie. Nic nie karze mi zbytnio żałować świata. Los pozwolił mi nie cierpieć dłużej. Całe moje życie składało się ze słodkich szaleństw, to godne ubolewania.

Ba! Możemy teraz stroić wszystkie wyobrażalne miny.

To oczywiście, jesteśmy poza światem. Żadnego dźwięku. Utraciłem zmysł dotyku. Ach, mój pałacu, moja Saksonio, wierzby mojego lasu. Wieczory, poranki, noce i dnie... Jaki jestem zmęczony!

Powinien bym mieć swoje własne piekło dla złości, piekło dla pychy- i piekło pieszczoty: koncert piekieł.

Umieram ze zmęczenia. To grób, staję się żerem robactwa, strach i zgroza! Szatanie, dowcipnisiu, chcesz mnie rozbroić swoimi urokami. Domagam się. Domagam się! ciosu wideł i kropli ognia.

Ach, wznieść się znowu ku życiu! Ogarnąć spojrzeniem naszą brzydotę. I ta trucizna, ten po tysiącokroć przeklęty pocałunek! Moja słabości, okrucieństwo świata! Boże, zmiłuj się nade mną i ukryj mnie, nazbyt mi ciężko. - Jestem ukryty i nie jestem.

I ogień wzbija się ze swoim potępieńcem.

MAJACZENIA (((LIRES

|

Szalona dziewica (*Vierge folle*)

Oblubieniec piekielny (*L'Epoux infernal*)

Posłuchajmy spowiedzi jednego z piekielnych kompanów:

"- O boski Oblubieńcze, Panie mój, nie wzbraniaj spowiedzi najżałośniejszej twojej służebnicy. Jestem zgubiona. Jestem pijana. Jestem nieczysta. Co to za życie! Wybacz, boski Panie, wybacz! Ach, zmiłuj się! Ile łez! I ile jeszcze łez będzie później, wierzę w to!

Później poznam boskiego Oblubieńca! Urodziłam się poddana tylko Jemu. - Tamten może mnie teraz dręczyć!

Jestem na samym dnie świata! O przyjaciółki!... nie, nie jesteście moimi przyjaciółkami... Nigdy podobnych majaczyń i mąk... Jakie to nedorzeczne!

Ach, cierpię i krzyczę. Cierpię naprawdę. Jednakże wszystko mi wolno, otoczonej wzdargą najbardziej wzdargzonych dusz.

Uczyńmy wreszcie to zwierzenie- tak posępne i marne- by skończyć z powtarzaniem go dwadzieścia razy!

Jestem niewolnicą piekielnego Oblubieńca, tego, który był zgubą nieroztropnych dziewic. To ten właśnie demon. Nie jest to widmo ani upiór. Ale mnie, która utraciłam rozsądek, która potępiona jestem i umarła dla świata- mnie nie zabijają! Jakże go mam opisać? Już nawet mówić nie umiem. Jestem w żałobie, płaczę, boję się. Trochę ochłody, Panie, jeśli pozwolisz, jeśli spodoba Ci się pozwolić!

Jestem wdową... - Byłam wdową... - ależ tak, byłam niegdyś pełna powagi i nie urodziłam się po to, by stać się szkieletem!... - On był nieomal dzieckiem... Jego tajemne czułości uwiodły mnie. Poszłam za nim, zapominając o wszelkich obowiązkach ludzkich. Co za życie! Prawdziwe życie jest nieobecne. Nie ma nas na świecie. Idę tam, dokąd on idzie, tak trzeba. Często unosi się na mnie gniewem, *na mnie, biedną duszyczkę*.

Demon! - To demon, powinniście wiedzieć, *to nie człowiek*.

Mówi:"Nie lubię kobiet. Trzeba na nowo wymyślić miłość, to wiadome. One potrafią już tylko pragnąć zapewnionej sytuacji. Z chwilą zdobycia sytuacji, serce i piękność odkłada się na bok: pozostaje chłodna wzdarga, ta pożywka dzisiejszego małżeństwa. Widuję też kobiety naznaczone stygmatem szczęścia, z których potrafiłbym zrobić dobre kompanki, a które z miejsca są pożerane przez gburów o uczciwości kłody drewna..."

Słucham go, upatrującego chwały w niesławie i wdzięku w okrucieństwie. "Pochodzę z dalekiego rodu: moi przodkowie byli Skandynawami; przebijali sobie żebra, pili swoją krew. Pokaleczę całe swoje ciało, pokryję je tatuażem, pragnę stać się ohydny jak Mongoł: zobaczysz będę wyć na ulicach. Chcę oszaleć z wściekłości. Nigdy nie pokazuj mi klejnotów, pełzałbym i wił się na dywanie. Chciałbym, żeby całe moje bogactwo splamione było krwią. Nigdy nie będę pracował..." W ciągu wielu nocy dopadał mnie jego demon i tarzając się walczyliśmy z sobą!- Często, pijany, zasada się na mnie nocą na

ulicach i w domach, żeby śmiertelnie mnie przerazić. - "Na pewno zetną mi szyję: będzie to odrażające". Ach, te dni, kiedy postanawia przybrać rysy zbrodniarza!

Rozczuloną gwarą mówi czasem o śmierci, która skłania do skruchy, o nieszczęśliwych, co z pewnością istnieją, o trudach nad siły, o rozdierających serce odjazdach. W norach, gdzie upijaliśmy się, płakał nad tymi, co nas otaczali, tą trzodą nędzy. Na czarnych ulicach podnosił spitych do nieprzytomności. Litował się jak matka okrutna dla swych małych dzieci. - Oddalał się z wdziękiem dziewczynki idącej na katechezę. - Udawał, że obeznany jest ze wszystkim, handlem, sztuką, medycyną. - Towarzyszyłam mu, tak być musi!

Widziałam całą dekorację, którą otaczał się w wyobraźni: ubrania, tkaniny, meble; użyczałam mu broni, innej twarzy. Wszystko, z czym się stykał, widziałam tak, jak on sam pragnąłby to dla siebie stworzyć. Kiedy jego umysł zdawał mi się bezwładny, towarzyszyłam mu, daleko, w osobliwych i zawitych uczynkach, dobrych albo złych: pewna byłam, że nigdy nie wejść do jego świata. Ile godzin czuwałam po nocy u boku jego drogiego ciała we śnie, doszukując się przyczyn, dla których tak mocno pragnie uciec od rzeczywistości! Człowiek nie miał nigdy podobnego pragnienia. Przyznawałam- nie obawiając się o niego- że stanowić mógłby poważną groźbę dla społeczeństwa. - Czy zna tajemne sposoby, żeby *zmienić życie*? Nie, szuka ich jedynie- odpowiadałam sobie. Jego miłosierdzie jest, krótko mówiąc, zakłęte, i jestem w nim uwięziona. Żadna inna dusza nie miałaby dość siły- siły rozpacz! - by je znieść i zostać podopieczną jego i kochanką. Nigdy nie wyobrażałam go sobie zresztą z inną duszą: widzi się tylko własnego Anioła, nigdy czyjegoś Anioła- tak myślę. Byłam w jego duszy jak w pałacu, który opróżniono, by nikt nie ujrzał osoby tak bezecnej: to wszystko. Niestety! Zależałam od niego. Ale co zamierzał zrobić z moim bladym i podłym istnieniem? Nie każąc mi umierać, nie czynił mnie przez to lepszą! W żalonym gniewie mówiłam mu czasem: "Rozumiem cię". Wzruszał na to ramionami.

Z bezustannie dokuczającym mi strapieniem i coraz niżej upadając we własnych oczach- i we wszystkich oczach, które zechciałyby na mnie spojrzeć, gdybym po wieczność nie była skazana na powszechne o mnie zapomnienie! - coraz silniej łaknęłam jego względów. Jego pocałunki i przyjazne uściski były mi niebem, posępnym niebem, gdzie wstępowałam z pragnieniem, by mnie tam pozostawiono, nędzną, ślepą, głuchą i niemą. Przywykłam już do tego. Myślałam o nas jak o dwojgu prostodusznych dzieciach przechadzających się swobodnie po Raju smutku. Byliśmy ze sobą zgodni.

Współdziałaliśmy, do głębi wzruszeni. Po przeszywającej pieśczoce mówił jednak: "Jak dziwacznie, kiedy mnie już nie będzie, wyda ci się to wszystko, co przeżyłaś. Kiedy nie będziesz już miała moich ramion wokół szyi ani mojej piersi dla spoczynku, ani tych ust na swoich oczach. Bo trzeba mi będzie odejść któregoś dnia bardzo daleko. Muszę dopomóc także innym: to mój obowiązek. Choćby nie było to przyjemne... droga duszyczko..." I przeczuwałam zaraz, jaka będę po jego odejściu ogarnięta szalem, strącona w najstraszliwszą ciemność: śmierć. Wymogłam na nim obietnicę, że nie porzuci mnie. Złożył ze dwadzieścia razy tę obietnicę kochanka. Było to równie płoche jak moje słowa do niego: "Rozumiem cię".

Ach, nigdy nie byłam o niego zazdrosna. Wierzę, że mnie nie opuści. Co począć? On jest

niepoczytalny; nigdy nie będzie pracował. Pragnie żyć jak lunatyk. Czy sama tylko jego dobroć i miłosierdzie dałyby mu prawa w rzeczywistym świecie? Chwilami zapominam o litości, która mnie dopadła: uczyni mnie silną, ruszymy w podróż, zapolujemy na pustyniach, będziemy spać na bruku nieznanymi miastami, niepomni na nic, beztroscy. Albo zbudzę się i zmienione będą prawa i obyczaje- dzięki jego magicznej władzy- albo świat, pozostając taki sam, przyzwoli na moje pragnienia, radości, nieogłędne kroki. Ach, czy dasz mi w nagrodę, tyle wycierpiałam! to pełne przygód życie z książek dla dzieci? Nie może. Nie znam jego ideałów. Mówił, że ma wyrzuty sumienia i nadzieje: nie powinno mnie to zaprzętać. Czy rozmawia z Bogiem? Może powinna bym zwrócić się do Boga. Jestem na samym dnie otchłani i nie umiem już się modlić.

Gdyby mi zwierzył swoje smutki, czy pojęłabym je lepiej niż jego szyderstwa? Dokucz mi, spędza długie godziny na zawstydzaniu mnie wszystkim, co tylko mogłoby mnie dotknąć, i oburza się kiedy płaczę.

"- Czy widzisz tego młodego eleganta, który wchodzi do pięknego i zaciszego domu: nazywa się Duval, Dufour, Armand, Maurice, albo ja wiem? Pewna kobieta poświęciła się miłości do tego niegodziwego idioty: umarła i teraz jest zapewne świętą w niebiosach. Zabijesz mnie, jak on zabił tę kobietę. Taki los nam przypadł, nam, miłosiernym duchom..." Niestety! Bywały dni, kiedy wszyscy żywi ludzie zdawali mi się igraszką groteskowych majaczeń; śmiał się długo i strasznie. - Później znowu przybierał gesty młodej matki, ukochanej siostry. Gdyby mniej był dziki, byłibyśmy wybawieni! Ale jego łagodność jest także śmiertelna. Jestem jego poddaną. - Ach, jestem szalona! Pewnego dnia może zniknąć cudownie: ale muszę wiedzieć, czy znowu ma wzbić się w swoje przestworze, by nie przeoczyć wniebowzięcia mego kochaneczka!"
Osobliwe stadło!

MAJACZENIA (((LIRES))

//

Alchemia słowa (Alchimie du verbe)

Do mnie. Historia jednego z moich szaleństw.

Od dawna chwaliłem się, że zawiadnąłem wszystkimi krajobrazami, jakie tylko są możliwe, i uważałem za warte śmiechu współczesne sławy malarstwa i poezji.

Lubiłem idiotyczne obrazy, zdobione nadproża, dekoracje, namioty linoskoków, szyldy, jarmarczny malowanki; niemodną literaturę, łacinę kościelną, erotyczne książki nie liczące się z ortografią, romanse naszych dziadków, baśnie czarodziejskie, książeczki dla dzieci, stare opery, niedorzeczne refreny, naiwne rytmy.

Śniłem krucjaty, odkrywcze wyprawy, o których brak sprawozdań, republiki bez historii, stłumione wojny religijne, obyczajowe rewolucje, przemieszczenia ras i kontynentów: wierzyłem we wszystkie czary.

Wynalazłem kolor samogłosek! - A czarne, E białe, I czerwone, O niebieskie, U zielone. - Ustaliłem formę i takt każdej ze spółgłosek i w instynktownych rymach pochlebiałem sobie, że odkryłem poetyckie słowo dostępne, któregoś dnia dla wszystkich zmysłów.

Zastrzegałem sobie prawo przekładu.
Początkowo były to wstępne studia. Spisywałem milczenia i noce, notowałem niewyraźne.
Utrwalałem zawroty głowy.

*

Z dala od trzody, ptaków, wieśniaczek urody,
Cóż to piłem na kłęczkach, z wrzosami przy twarzy,
Dokoła mając świeżej leszczyny ustronie,
W popołudnia zielonym i ciepłym oparze?

Cóż z młodziutkiej Uazy chłonać mogłem wody,
- Nieme wiązy, darń naga, niebo w chmur
zasłonie!-
Pić w żółtych tykwach, z dala od błogiej zagrody?
Złoty likwor, z którego pot pije na skronie.

Zdawałem się gospody podejrzanym godłem.
- Nawałnica pognąła przez niebo. Z wieczora
Nikły w dziewiczych piaskach wody chłodne,
Boży wiatr sople lodu ciskał na bajora.

Plakałem widząc złoto- ale pić nie mogłem.

*

Latem, o czwartej nad ranem,
Trwa jeszcze senność miłosna.
Pod gajem wciąż pachną zarośla
Wieczorem przeświętowanym

W słonecznym Hesperyd złocie-
Tam, w warsztacie swym leśnym,
Już cieśle- rozdżiani do koszul-
Są przy robocie.

W ich głuszy, co mchem porasta,
Chcą stropy kunsztowne ciosać.
Na których miasto
Z farb złoży sztuczne niebios.

Dla majstrów tych, czarujących
Poddanych króla w Babilonie,
Wenus! Na chwilę swych kochanków

Porzuć dusze uwieńczone!

O Królowo Pasterzy,
Cieślom gorzałki przynieś,
By wigor zachowali świeży
Aż do morskiej kąpieli w południa godzinie.

*

Poetycka starzyzna miała wielki udział w mojej alchemii słowa.
Przywykłem do zwyczajnej halucynacji: z największą łatwością widziałem meczet w
miejsce fabryki, szkołę doboszów prowadzoną przez anioły, kolasy na wszystkich
drogach nieba, salon w głębi jeziora; potwory, misteria; tytuł wodewilu piętrzył przede
mną koszmary.
Później objaśniałem swoje magiczne sofizmaty halucynacją słów!
W końcu uznałem nieporządek mojego umysłu za uświęcony. Próżnowałem nękany
ciężką gorączką: zazdrościłem szczęśliwym zwierzętom- gąsienicom wyobrażającym
sobie niewinność limbu, kretom uspionej dziewiczości!
Gorzkniał mi charakter. Żegnałem się ze światem w szczególnego rodzaju romancach:

Pieśń najwyższej wieży (Chanson de la plus haute tour)

Niech przyjdzie, niech nie zwleka
Pora, co nas urzeka.

Cierpliwość mi przyniosła
Na zawsze zapomnienie.
Uleciały w niebiosy
Obawa i cierpienie.
I głód porażający
Ciemność mi w żyły sączy.

Niech przyjdzie, niech nie zwleka
Pora, co nas urzeka.

Podobna jestem łące
Na niepamięć wydanej,
Zarostej i kwitnącej
Kąkolem i tymianem,
Gdy zaciekle znad trawy
Much brzęczy rój plugawy.

Niech przyjdzie, niech nie zwleka
Pora, co nas urzeka.

Kochałem pustynię, spalone ogrody, spłowiałe kramy, wystygłe napoje. Włóczyłem się po cuchnących uliczkach i zamknąwszy oczy ofiarowywałem się słońcu, bóstwu ognia. "Generale, jeśli jest jeszcze jakieś stare działo na twoich zburzonych szańcach, zbombarduj nas bryłami wyschniętej ziemi. W szyby wytwornych magazynów! W salony! Zmusz miasto do połknięcia własnego błota. Spal tlenem ścieki. Napełnij buduary rubinowym pyłem ognistym..."
Ach, odurzony giez w pisuarze gospody, zakochany w ogóreczniku i roztopiony w promieniu!

Głód (Faim)

Chęci teraz nabrałem
Tylko na piach i kamienie.
Powietrze jadam codziennie,
Żelazo, węgiel i skałę.

Głody, paście się. Głody, w koło
Po dźwięków łące!
Z powojów chłońcie wesoło
Jady trujące.

Jedzcie szutry ziarniste,
Granit kościołów podniebny,
Żwir dawnych potopów, chleby
Ciśnięte w doliny mgliste.

*

Trąbił wilk pod zaroślami.
Miał z kurczęcia ucztę w trawie,
Słonecznymi pluł piórami:
Jak wilk zjadam się i trawię.

Ta sałata, te owoce
Wyglądają zbioru w sadach,
Ale pająk w żywopłocie
Jedynie fiołki jada.

Niech śpię! Niech zakipię w dymie
Na ołtarzach Salomona.
Po grynszpanie kipieli płynie
W nurt Cedronu przemieniona.

W końcu, o pełni szczęścia, o rozsądku, usunąłem z nieba lazur, który jest ciemnością i żyłem, złota iskra *naturalnego* światła. Nie posiadając się z radości, nadawałem jej błazeński i możliwie najbardziej obłądny wyraz:

Odnaleziono w końcu!
Ale co? Wieczność! Ona
Jest morzem, co się łączy
Ze słońcem.

Dusza ma wiecznotrwała
Spełnia twoje życzenie,
Choć noc osamotniała,
A dzień trawia płomienie.

Pożegnałeś się zatem
Z wyrokującym światem,
Stadnych uczuć potrzebą!
Wzlatujesz w niebo...

- Nigdy więcej *orientur*.
Żadnego urojenia.
Nauka i czekanie
Mąk nie do uniknięcia.

Nigdy jutra, płomieni
Atlasu, co się mieni,
Twoja żarliwość
To jedyne prawo.

Odnaleziono w końcu!
- Ale co?- Wieczność! Ona
Jest morzem, co się łączy
Ze słońcem.

*

Stałem się operą bajeczną: spostrzegłem, że na wszystkie istoty rozciąga się fatalność szczęścia: działanie nie jest życiem, lecz sposobem marnowania siły, nerwowym podnieceniem. Moralność jest słabością umysłu.
Sądziłem, że każdej istocie przypisanych jest wiele *innych* żywotów. Ten pan nie wie, co czyni: jest aniołem. Ta rodzina jest psiarnią. Stając przed ludźmi, głośno rozmawiałem z którąś chwilą jednego z ich istnień. - W rezultacie pokochałem wieprza.
Nie zapomniałem o żadnym sofizmacie obłądu- obłądu, który trzyma się pod kluczem- i mógłbym powtórzyć je po kolei, zachowałem tę umiejętność.

Moje zdrowie było zagrożone. Nawiedzał mnie lęk. Zapadałem w wielodniowe sny i, zbudzony, nie przerywałem najsmutniejszych rojeń. Byłem przygotowany na śmierć i własna słabość prowadziła mnie po niebezpiecznych drogach na granice świata i Kimmerii, ojczyzny świata wichrów i ciemności.

Musiałem podróżować, rozpraszać wypełniające mi głowę uroki. Na morzu, które wielbiłem, jak gdyby obowiązane było oczyścić mnie z brudu, ujrzałem wznoszący się krzyż pocieszenia. Potępiła mnie tęcza. Szczęście było moim przeznaczeniem i wyrzutem, toczącym mnie czerwim: moje życie będzie zawsze zbyt przestronne, by poświęcone mogło być sile i pięknu.

Szczęście! Jego śmiertelnie słodki ząb ostrzegał mnie z pianiem koguta- *ad matutinum*, przy *Christus venit*- w najposępniejszych miastach:

O sezony, kasztele!
Dusz bez wad jest niewiele!

Z magicznych wzięłem doświadczeń
Szczęścia poczucie władcze.

Chwała mu, gdy brzmi nuta
Galijskiego koguta.

Ach, wyzbędę się pragnień:
Ono mną całym zawładnie.

Czar przenikł duszę i ciało,
By trudów poniechało.

O sezony, kasztele!

Ach, chwila, gdy uleci,
Będzie godziną śmierci.

O sezony, kasztele!

*

To już za mną. Potrafię dzisiaj witać piękno.

Niepodobieństwo (L'Impossible)

Ach, to życie mojego dzieciństwa, wielka droga przez wszystkie aury, nienaturalna powściągliwość, więcej bezinteresowności, niż ma jej najzacniejszy żebrak, duma z nieposiadania własnego kraju i przyjaciół, jakie to było głupie. - I widzę to dopiero teraz!
- Słusznie gardziłem tymi pocziwcami, co nie zmarnują żadnej okazji, by się przymilić,

Pasożytami zdrowia i czystości naszych kobiet, dziś, kiedy tak mało są z nami zgodne. Słuszne były wszystkie moje wzgardy: bo właśnie uciekam! Uciekam!

Wyjaśniam to.

Wczoraj jeszcze wzdychałem: "O nieba! Czy nie dość nas jest, potępieńców, na tym świecie? Tyle już czasu przebywam w ich gromadzie! Znam ich wszystkich.

Rozpoznamy się zawsze; budzimy w sobie wstręt. Nie znane nam jest współczucie. Ale jesteśmy ogładzeni: nasze stosunki ze światem są najzupełniej poprawne". Czy to zdumiewające? Świat! Handlarze, naiwne dusze! - Nie jesteśmy okryci hańbą. - Ale jak przyjęliby nas wybrańcy? Są wprawdzie wśród nas ludzie swarliwi i weseli, wybrańcy fałszywi, skoro trzeba nam odwagi albo pokory, żeby się do nich zbliżyć. To jedyni wybrani. Nie są to dobroczyńcy ludzkości!

Odnalazłszy łąt rozsądku- szybko to przechodził!- dostrzegam, że moje zniechęcenie wynika z nieświadomości sobie w porę, że znajdujemy się na Zachodzie. Bagniska zachodnie! Nie chcę przez to powiedzieć, że światło poblądło, formy są nadwątlone, a ruch zbłąkany... Dobrze więc! Ale mój duch pragnie teraz za wszelką cenę obarczyć się wszystkimi okrutnymi przemianami umysłu, jakim ulegał on po upadku Wschodu... Mój duch pragnie tego!

... Skończył się łąt rozsądku!- Duch jest władczy, pragnie, bym pozostał na Zachodzie. Trzeba go uciszyć, by zakończyć, jak pragnąłem.

Posłałem do diabła palmy męczeństwa, blaski sztuki, pychę wynalazców, zapał rabusiów: powracałem na Wschód i do pierwszej i do wiecznej mądrości. - To chyba urojenie rozpasanego lenistwa!

Nie marzyła mi się jednak przyjemność umknięcia nowoczesnym cierpieniom. Nie miałem na widoku nieprawej mądrości Koranu. - Ale czy to nie jest prawdziwa udręka, że od narodzin chrześcijaństwa, tej deklaracji wiedzy, człowiek *igra z sobą*, dowodzi sobie oczywistości, nadyma się od rozkoszy powtarzania swoich dowodów i tak właśnie żyje? Wymyślna i nedorzeczna męka; źródło moich duchowych zbłąkań. Natura może być znudzona, kto wie! Pan Prudhomme urodził się jednocześnie z Chrystusem.

Czy nie jest tak dlatego, że kultuwujemy mgłę? Z naszymi wodnistymi jarzynami zjadamy gorączkę. A pijaństwo! tytoń! Ignorancja! poświęcenia! - Czy wszystko to nie dość daleko odbiega od myśli i mądrości Wschodu, pierwotnej ojczyzny? Po cóż nowoczesny świat, skoro wymyśla się takie jady!

Ludzie Kościoła powiedzą: Zgoda. Ale na uwadze masz Eden. Nic ci po historii wschodnich narodów. - To prawda: na myśli miałem Eden. Cóż to za marzenie, ta udzielną czystość starożytnych ras?

Filozofowie: Świat nie ma wieku. Ludzkość przenosi się po prostu z miejsca na miejsce. Jesteś na Zachodzie, ale wolno ci przecież zamieszkać na swoim Wschodzie, tak dawnym, jak ci się tylko podoba- i to zamieszkać wcale dobrze. Nie czuj się pokonany. Filozofowie, należycie do waszego Zachodu.

Strzeż się, mój duchu. Żadnych gwałtownych zamysłów zbawienia. Wprawiaj się!

- Ach, nauka jest dla nas nie dość szybka!

- Ale spostrzegam, że mój duch drzemie.

Gdyby od tej chwili ciągle był rozbudzony, doszlibyśmy niebawem do prawdy, której płaczące anioły otaczając nas być może!... - Gdyby rozbudzony był aż do tej chwili, znaczyłoby to, że nie uległem zgubnym instynktom w niepamiętnych czasach!... - Gdyby rozbudzony był zawsze, pełna mądrość wiodłaby mnie w żegludze!...

O, czystości! Czystości!

Ta minuta przebudzenia przyniosła mi wizję czystości! - Poprzez ducha zdążamy ku Bogu!

Rozdzierająca niedolo!

Przebłysek (L'(clair)

Praca ludzka! To eksplozja rozświecająca chwilami moją otchłań!

- Nic nie jest marnością; do nauki i napród! - woła współczesny Eklezjasta, to znaczy *wszystko-co-żyje*. A jednak trupy niegodziwców i wałkoni padają na serca innych... Ach, szybciej, jeszcze szybciej, tam, za kresem nocy, te przysze zadośćuczynienia wieczyste... czy im umkniemy?

- Cóż na to poradzę? Znam pracę; a wiedza jest nazbyt powolna. Niech galopuje modlitwa i huczy światło... przecież widzę. To nazbyt proste- i jest za gorąco; obejdzie się beze mnie. Mam swój obowiązek; dumny z niego będę na sposób tylu innych, odkładając go na bok.

Moje życie jest zużyte. Dalej! Udawajmy i próżnujmy, o nędzy! Będziemy istnieć zabawiając się i rojąc straszliwe miłości i kosmosy bajeczne, i będziemy boleć nad sobą i wadzić się z pozorami świata, linoskok, żebrak, artysta, bandyta,- kapłan! Na szpitalnym łóżku poczułem powracającą do mnie potężną woń kadzideł: strażnik świętych aromatów, spowiednik, męczennik...

Rozpoznałem tu odrażającą edukację mojego dzieciństwa. I cóż stąd!... Trzeba przejąć swoich dwadzieścia lat, skoro inni je przechodzą...

Nie! Nie! Buntuję się teraz przeciw śmierci! Praca wydaje się zbyt lekka dla mojej dumy: moja zdrada świata byłaby męką zbyt krótką. W ostatniej chwili uderzyłbym jeszcze na prawo i lewo...

Ach, droga, biedna duszyczko, czyżby wieczność nie była stracona dla nas!

Poranek (Matin)

Czy nie miałem *niegdyś* miłej młodości, bohaterskiej, baśniowej, godnej zapisania złotymi głoskami- zbytku szczęścia! Jaką zbrodnią, jakim zbłądzeniem zasłużyłem na obecną słabość? Wy, którzy utrzymujecie, że zwierzęta wydają z siebie łkanie żalu, że chorzy popadają w rozpacz, że umarli mają złe sny, spróbujcie opowiedzieć mój upadek i senne rojenia. Sam nie potrafię już się wypowiedzieć jaśniej niż żebrak bezustannie powtarzający swoje *Pater noster* i *Ave Maria*. *Nie umiem już mówić!*

Myszę dziś jednak, że skończyłem opowieść o swoim piekle. Było to właśnie piekło: stare piekło, którego bramy otworzył syn człowieczy.

Na tej samej pustyni, tą samą nocą, moje zmęczone oczy budzą się zawsze w blasku srebrnej gwiazdy, zawsze, choć nie porusza to Królów życia, trzech magów, serca,

duszy, umysłu. Kiedyż pójdziemy za morza i góry, by powitać zaranie nowej pracy, nową mądrość, ucieczkę tyranów i demonów, koniec przesądów, kiedyż to uwielbimy- pierwsi!

- Boże Narodzenie na ziemi?

Śpiew niebios, pochód ludów! Niewolnicy, nie przeklinajmy życia.

Pożegnanie (Adieu)

Już jesień! - Czemu jednak żalować wiecznego słońca, skoro zaczęliśmy odkrywać boskie światło- daleko od ludzi, którzy umierają z porami roku.

Jesień. Nasza barka wyniesiona w nieruchome mgły zawraca do portu biedy, ogromnego miasta z jego niebem w plamach ognia i błota. Ach, przegniłe łachmany, rozmokły na deszczu chleb, pijaństwo, tysiąc miłości, które mnie ukrzyżowały! Nigdy nie będzie więc końca tej wampiryzcy, królowej milionów dusz i ciał, które zmarły *i będą sądzone!* Widzę się znów, ze skórą przeżartą błotem i zarazą, z robactwem rojącym się we włosach i pod pachami, i z większymi jeszcze robakami w sercu, leżącego wśród nieznanych bez wieku, bez czucia... Mógłbym tu być umrzeć... Okropna wizja! Brzydzą się nędzą.

I obawiam się zimy, bo jest porą wygod!

- Widzę czasem na niebie nie kończące się plaże, pełne białych, rozradowanych narodów. Wielki złoty statek powiewa nade mną kolorowymi flagami na bryzach poranka. Stworzyłem wszystkie święta, wszystkie triumfy, wszystkie dramaty. Próbowałem wymyślić nowe kwiaty, nowe gwiazdy, nowe ciała, nowe języki. Wierzyłem, że zyskuję nadprzyrodzone siły. Ale cóż! Muszę pogrzebać swoją wyobraźnię i wspomnienia.

Rozwiała się piękna sława artysty i opowiadacza!

Ja! Ja, który uznawałem się za maga albo anioła i czułem się zwolniony z wszelkiej moralności, przywrócony jestem ziemi, w poszukiwaniu obowiązku i z szorstką realnością w objęciach! Wieśniak!

Czyżby mnie oszukano? Miłosierdzie byłoby dla mnie siostrą śmierci?

Prosić więc będę o przebaczenie za kłamstwo, którym się żywiłem. I wyruszajmy.

Ale ani jednej przyjaznej ręki! i gdzie szukać pomocy?

*

Tak, nowa epoka jest co najmniej bardzo surowa.

Bo mogę powiedzieć, że przypadło mi zwycięstwo: uciszyły się zgrzytające zęby, syk płomieni, zatrute westchnienia. Zacierają się w pamięci plugawe obrazy. Umykają moje ostatnie żale, - zawiści o żebraków, zbójców, kompanów śmierci, wszelkiego rodzaju zapóźnionych. O potępieńcy, gdybym zamyślał zemstę!

Trzeba być absolutnie nowoczesnym.

Żadnych kantyczek: utrzymać zdobyty teren. Ciężka noc! Schnąca krew dymi na mojej twarzy i za sobą mam tylko ten okropny krzew!... Walka duchowa jest równie brutalna jak bitwa ludzi; ale wizja sprawiedliwości to rozkosz samego Boga.

Tymczasem to czuwanie nocne. Otwórzmy się na wszystkie przyływy sił i rzeczywistej czułości. O brzasku, uzbrojeni w cierpliwość gorejącą, wkroczymy do świetnych miast.

Cóż mówiłem o przyjaznej ręce! Moim zwycięstwem jest to, że śmiać się mogę z kłamstwa dawnych miłości i okrywać wstydem kłamliwe stadła- zobaczyłem tam piekło kobiet; - i dozwolone mi będzie *posiąść prawdę w duszy i ciele.*

Kwiecień- sierpień 1873